WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ



№ 19. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 11 Maja 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM

Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchsteba — ul. Karola Ludwika 21.

CEZARY ŁAGIEWSKI.

Udział kobiety w ruchu współdzielczym.

Siewcą współdzielczości była potrzeba...

Słońcem, pod ożywczemi promieniami którego współdzielczość w kłos bujny wyrosła — stały się wielkie idee...

Człowiek jest niewolnikiem potrzeb, a twórcą idei...

Człowiek więc i w dziedzinie współdzielczości, jak wszędzie zresztą, stał się osią, około której wszystko się obraca.

Ciągnie ze współdzielczości duże korzyści, ale ma względem niej i duże obowiązki.

Chcąc więc poznać współdzielczość i jej do człowieka stosunek trzeba przedewszystkiem wiedzieć, jakie mu ona daje korzyści i jakie nań nakłada obowiązki?

Już wyżej powiedzieliśmy, że współdzielczość stworzyła potrzeba.

Dodajmy, że Opatrzność, tworząc życie na ziemi, stworzyła cały szereg potrzeb do utrzymania tego życia. Zadaniem ludzi jest umiejętne zaspokajanie tych potrzeb.

Współdzielczość rozwija się właśnie na tle tegoż zaspokajania.

Nie możemy powiedzieć, by była ona bezpośrednim tu celem. Jest jednak dużem ułatwieniem, a jej skomplikowany mechanizm jest wynikiem skomplikowania się ogólnego mechanizmu ludzkiego współżycia.

Im dalej w las, tem gorszy zwierz. Im bardziej oddalamy się od czasów, w których praca fizyczna była wszystkiem, a umysłowa nie istniała — tem trudniejsze widzimy warunki życia.

Dążeniem ludzi: drogą jaknajmniejszego wysiłku osiągnąć wszystko.

Chęć przerzucenia pracy na innych — to objaw bardzo ogólny.

U wielu wysiłek myśli w tym właśnie idzie kierunku i wielu, niestety, cel zamierzony osiąga.

Ludzie przestają pracować nie dlatego, by dla nich pracy nie było, lecz dlatego, że uciemiężyli innych, że pracę swoją przekazali tym innym, i tak już dobrze pracą obarczonym.

Warunki dla tych rzeczy stawały się coraz wygodniejsze.

Odgrywały tu rolę: nowe wynalazki i przeludnienie.

Wprowadzenie maszyn do przemysłu ograniczyło zapotrzebowanie (popyt) na pracę. Przeludnienie zaś zwiększało z roku na rok zaofiarowanie (podaż) tejże pracy.

Z drugiej zaś strony przeludnienie siłą rzeczy, zwiększa zapotrzebowanie artykułów codziennej potrzeby i potęguje ogólną drożyznę.

Człowiek pracy w trudnych odrazu znalazł się warunkach.

Jak to się mówi: z dwóch stron jest bity. Zarobki maleją, zwiększają się wydatki.

W takich warunkach życie jego staje się życiem z dnia na dzień, życiem bez jutra, życiem trosk stałych i ciągłych wysiłków.

A gdy niespodziewane, a niesprzyjające okoliczności w dalszym ciągu spotęgowały grozę sytuacyi a położenie stawało się jeszcze przykrzejsze, przybierało wszelkie cechy położenia bez wyjścia...

Im większa bieda, im większa nędza,— tem większym staje się kult złota, tem więcej cielec złoty zyskuje zwolenników.

W pogoni za majątkiem jednostki nie przebierają w środkach, drogą łez ludzkich i ludzkiej niedoli, bezwzględnie, konsekwentnie do zamierzonego dążą celu...

— Co mnie obchodzi bliźni, co mnie obchodzi jego nędza, byleby mnie i mnie tylko było dobrze. Nie będę przebierał w środkach do osiągnięcia moich pragnień w postaci kapitału. Nie ja, ale kapitał ma dla mnie pracować.

Kapitał jednak nie pracuje — kapitał tylko uciemięża pracę...

Stąd konflikt między nim a pracą, stąd płynie geneza tak wielkich, a tak dokuczliwych bardzo antagonizmów.

Człowiek człowiekowi wilkiem się staje...

Kto pragnie, by dobrze było na świecie, dążyć musi do usunięcia antagonizmów, do sprawiedliwego podziału dóbr.

Rzecz to niełatwa. Sprawiedliwość ideałem jest wielkim, i to tak wielkim, że ludzkość nie zawahała się złączyć go z imieniem samego Boga. Unosi się ten ideał po nad życiem, po nad światem, po nad

em wszystkiem, co nas otacza, a, mimo wszystko, nieosiągalnym być się zdaje...

Obowiązkiem naszym zbliżać się do niego.

Zrozumieli to wielcy myśliciele, żyjący na początku XIX-go wieku i pragnęli równość zaprowadzić na ziemi.

Nie osiągnęli zamierzonego celu; nazwano ich utopistami, a jednak oni to naprowadzili niezapomnianych tkaczy roczdalskich na myśl stworzenia przedsięwzięcia handlowego, które miało na celu powstrzymać zapędy w stronę tworzenia kapitału.

Uznano, że o bogactwie decyduje wytwórczość. Pogodzono się do pewnego stopnia i to na zawsze z rolą kapitału w udziale wytwórczości. Za największego szkodnika społecznego uznano pośrednika. Od niego zaczęto reformę świata.

Trudno o lepsze ujęcie sprawy.

Pośrednik jest tym ptakiem niebieskim, który nie sieje, nie orze, a zbiera... Pośrednik działa na niekorzyść i spożywcy, i wytwórcy. Odebrać mu zyski nieprawnie zdobywane — oddać je częściowo tym, którym się one słusznie należą — wytworzyć z nich kapitały społeczne — oto główne, podstawowe hasła „sprawiedliwych pionierów“.

W dali, w przyszłości ukazała się siła kapitału społecznego, którą można będzie przeciwstawić kapitalizmowi indywidualnemu.

Różnica między tymi kapitałami wielka. Kapitał społeczny nie będzie próżniactwa podstawą a przeciwnie, uszlachetni pracę, ludziom ją umili.

On pozwoli zakładać szkoły i domy ludowe, budować szpitale, gromadzić zasoby dla tych, którzy po trudach życia naprawdę odpocząć powinni.

On będzie wyrazem solidarności tych, którzy zrozumieli tę wielką prawdę, że największemu człowiekowi na świecie imię: Gromada!

Tam, gdzie jednostka nie jest w stanie obronić się sama — tam we współdziałaniu z innymi cudów niemal dokonać może.

Jeżeli wolno czynić zmowy na niekorzyść spożywców, toć dlaczego nie ma być wolno zrzeszać się spożywcom?

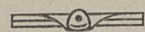
Wszak w ogólnych stosunkach gospodarczych stanowią czynnik bardzo poważny i zorganizowani własne dyktować mogą prawa.

Takie było zasadnicze założenie idei współdzielczej w zaraniu jej powstania — takiem pozostało ono po dziś dzień.

Tworzona na takich fundamentach współdzielczość stała się gmachem wielkim.

Kto jej zasady zrozumiał, temu nietrudno odnaleźć jej definicyę i jej cechy charakterystyczne.

(D. c. n.).



Kooperatywa oświatowa.



Nie zawsze stać rodziców ze sfery ziemiańskiej na danie córkom swoim staranego wychowania domowego.

A jednak dałoby się to przeprowadzić z łatwością, gdybyśmy się zdecydowali wstąpić na nową drogę w tej dziedzinie.

Wyobrażam to sobie tak: kilka domów, żyjących ze sobą w stosunkach sąsiedzkich, mając dzieci, zwłaszcza córki na wychowaniu, zawiera z sobą formalną umowę, mającą na celu stworzenie dobrych warunków oświatowych dla ich dziatwy.

W tym celu zakładają oni kooperatywę na szereg lat. Z udziałów wysokości dowolnej powstaje fundusz i z tego funduszu czerpie się na opłacenie nauczycielskiego personelu, na pomoce naukowe, wycieczki krajoznawcze i t. p.

Dom największy, a zapewne i taki, który ze względu na warunki komunikacyjne najlepiej się po temu nadaje, jest użyty na szkołę. Do tej szkoły zjeżdżają się punktualnie dzieci z sąsiedztwa z zapasami pożywienia.

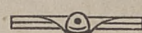
Nauczycielski personel albo stale mieszka w jednym domu albo prowadzi żywot koczujący, to już zależy od umowy.

Wyobrażam to tobie tak: dom uznany za szkołę ma po temu najodpowiedniejsze warunki, zarówno oświatowe jak hygieniczne i kulturalne. W tym domu sala przeznaczona na naukę takiego prywatnego kompletu dzieci, powinna być urządzona jak klasa w szkole. W takim domu musi być małe szkolne muzeum, małe laboratoryum i biblioteczka dla uczniów i dla nauczyciela. We dworze przeznaczonym na szkołę musi być w lecie boisko i place do gimnastycznych ćwiczeń i gier wszelakich.

W takim dworze, będącym uczelnią, odbywają się egzaminy i uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego, w jego murach koncentruje się całe życie szkolne młodzieży, które w takiej prywatnej szkole ma się wychowywać i kształcić. Najwłaściwszem byłoby przyjęcie jakiego programu szkolnego i prowadzenie nauki dzieci z owego kompletu podług tego wzoru.

Rzucam myśl nową, może rodzice ze wsi wezmą ją pod rozwagę i od roku szkolnego zechcą ją tu i owdzie, choćby tytułem próby, w życie wprowadzić. A może okaże się dobrą i praktyczną.

Stefanja Bojarska.



Pogadanki artystyczne.



Z wystawy Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

Na powstanie każdego dzieła sztuki musi się złożyć umiejętność i talent twórczy artysty. W dziele malarskiem umiejętność ta polega na opanowaniu strony rysunkowej i malarskiej, czyli barwnej. Dzielny rysownik może być słabym kolorystą i odwrotnie.

Bez umiejętności technicznej najbujniejsza twórczość nie będzie posiadała środków do wypowiedzenia się. Jest to alfabet malarski, dzięki któremu wypowiada artysta to, co czuje. Malarz zmuszony jest wszelkie swe pomysły twórcze, choćby najfantastyczniejsze, najbardziej oderwane, ujmować w formy plastyczne, zaczerpnięte ze świata zewnętrznego, podlegającego wszystkim prawom fizycznym statyki, anatomii, plastyki, oświetlenia i t. p. Fantazya artysty, zdawałoby się, że niema granic, a jednak z temi wszystkiemi prawami musi się liczyć pod groźbą stworzenia czegoś niedołężnego lub śmiesznego. Najfantastyczniejszy Smok czy Chimera muszą mieć jakieś ciało plastyczne o pewnych barwach i kształtach i muszą być namalowane tak, żeby widz uwierzył w możliwość istnienia takich potworów. Böcklin znakomicie łączył na tym samym obrazie istoty realne z fantastycznemi i stwarzał świat z własnej imaginacyi, a jednak widz zupełnie się godził na prawdopodobieństwo jego istnienia.

Jeślibyśmy sięgnęli do całkiem odrębnej i nierealistycznej sztuki, jaką jest japońska, to i tam w pejzażu tafla stawu ma swą perspektywę płaszczyzny poziomej, choć wykonana jest jakby od jednego posunięcia pędzla, i tam różne potwory, wyimaginowane ptaki i t. p. mają motywy, zaczerpnięte ze świata realnego.

Przedewszystkiem jednak malarstwo jest sztuką piękną, artysta więc musi mieć silnie rozwinięte poczucie piękna i harmonii barw, finezyi w zarysie linii, co czyni, że każde dzieło, przedstawiające czy to przedmiot najpospolitszy, jak np. martwa natura ze stosem jarzyn, czy najbardziej uduchowniony, daje nam duże zadowolenie estetyczne.

Powyższe zasady są tak podstawowemi w sztuce, że są nierozdzielne z każdem dobrem dziełem sztuki, z każdem dziełem zarówno dawnem, jak i współczesnem, należącem do takiego lub innego kierunku w sztuce, byle w sztuce prawdziwej, a więc w szczerej, bo szczerość, a zatem i prawda, musi iść zawsze w parze z prawdziwem pięknem.

O tem wszystkiem należy pamiętać, aby zdać sobie sprawę z wartości artystycznej obrazów coraz częściej zjawiających się na wystawie Zachęty, a które robią wrażenie prac zupełnie niedołężnych. Mniejsza o to, czy to niedołęstwo wypływało ze szczerej nieumiejętności, czy z nieszczerego silenia się na manierę.

Od szeregu lat pisując krytyki artystyczne trzymałem się zasady, żeby pisać tylko o dziełach, zasługujących na wyróżnienie, albo będących dowodem postępu w rozwoju talentu artysty. Żadna praca ludzka nie jest doskonałością i każdej możnaby coś przyganić, a że krytyka, będąc też czynem ludzkim, może również być błędną i niesprawiedliwą, więc wolę błądzić, zaznaczając dobre strony wysiłków artysty, a przechodzić milczącо nad złemi. Przedewszystkiem jednak krytyk nie powinien ani chwalić, ani ganić, tylko ułatwiać widzowi odczucie samego dzieła oraz zrozumienie celów i dążeń artysty. Ale nie każdego stać na wielkie cele i szczytne dążenia. Jeden tworzy tak, jak sam głęboko czuje, choć spotykają go niepowodzenia, a inny schlebia gustom i modom bieżącym, inny naśladuje kogoś większego od siebie, albo sili się koniecznie na oryginalność, aby jakimbądź sposobem zwrócić na siebie uwagę.

Według stawu grobla: jaki talent — taka oryginalność i dlatego owa oryginalność zamienia się tak często na dziwactwo lub nieudolność.

Jeśli spotykam na wystawie takie prace pojedyńczo, wówczas milczę o nich, jeśli jednak zgromadzone są liczniej i tworzą wystawę zbiorową, to obowiązkiem krytyka wobec publiczności jest nie pozostawić jej bez fachowej oceny, tembardziej, że zjawiają się po pismach sprawozdania najzupełniej ze sobą sprzeczne. W jednych zadawalają się drwinami, gdy w innych każdą największej miernocie. Drwiny choćby były najsłuszniejsze, jednak nikogo z czy-

telników nie nauczą, chyba ogólnego lekceważenia pracy wszystkich naogół artystów. Gdy krytyk drwi tylko z dzieł słabych, to nieprzygotowany czytelnik pozwala sobie na drwiny z dzieł wartościowych, których nie jest w stanie zrozumieć.

Nie uczmy ogółu drwin, ale ukochania sztuki, piękna i odróżniania ziarna od plewów.

* * *

W dużej sali Zachęty pięciu artystów wystawiło kilkadziesiąt swych prac pod ogólną nazwą „Nowej Grupy". Tworzą ją pp.: Zygmunt Kamiński, Roman Kramsztyk, Czesław Młodzianowski, Tadeusz Pruszkowski *) i Eugeniusz Żak.

Pięciu członków owej „Nowej Grupy" robi wrażenie przedewszystkiem pragnących zwrócić na siebie uwagę publiczności i każdy usiłuje to zrobić na swój sposób. Żadnej łączności artystycznej, żadnej wspólnej idei przewodniej napróżno się doszukiwałem. Jeśli jest tam coś wspólnego, a raczej, jeśli tam czegoś wspólnie brak, to jest zupełne sponiewieranie tego, co się nazywa barwą i tonem. Jedyny wyjątek stanowi Pruszkowskiego studyum „Damy Incroyable", pomyślanej jako ciemna plama na jasnem tle i malowanej wprawdzie z pewną manierą, ale z poczuciem harmonii barwnej. Reszta prac nurza się poprostu w sadzach, w barwach błotnistych i brudnych i trzeba z zadziwieniem postawić sobie pytanie, poco ci malarze posługują się techniką wielobarwną, skoro tak poniewierają wszystkiem tem, co barwa dać może, albo zupełnie nie rozumieją lub nie uznają jej wartości? Czyżby nie lepiej było, gdyby ograniczyli się do techniki jednobarwnej, to jest rysunkowej?

Rysunki głów Kramsztyka są śmiałe, z charakterem, a nawet czasem i z wdziękiem wykonane, tymczasem cały szereg portretów olejnych jest w barwie tępy, twardy i brudny. Twarz ludzka, fałdy ubrania lub akcesorya są jakby z jednego i tego samego twardego i brudnego materyału i fotografie z tych portretów zrobiłyby niewątpliwie lepsze wrażenie niż oryginały.

Parę szkiców portretowych Zygmunta Kamińskiego, podbarwionych sangwiną lub akwarelą są rzucone śmiało i pewną ręką, kilka konturowych rysuneczków z motywów architektonicznych Wenecyi stanowią dokładne, miłe i czysto wykonane, ale mało po malarsku wyczute drobiazgi. Zato rysunek podbarwiony p. t. „Syn marnotrawny", choć ma cechy zwykłego studyum szkolnego, jednak urąga najelementarniejszym zasadom anatomii.

Pruszkowski ma kilka głów rysowanych i podbarwionych.

Dawniej tego rodzaju rysunki jak Kamińskiego lub Pruszkowskiego trzymałoby się skromnie w tece studenckiej, a dziś urządza się z nich zbiorową wystawę w największej sali Zachęty i nawet stwarza się „Nową Grupę", jakby mającą coś nowego w sztuce obwieścić światu. Kto jak p. Tadeusz Pruszkowski potrafił namalować „Piastunów", dobry, większych rozmiarów obraz z ostatniego Salonu Dorocznego, ten powinien był lepiej obesłać swoją specyalną wystawę, albo jej wcale nie urządzać.

Zato prace dwuch pozostałych członków „Nowej Grupy" ani do wystawiania, ani nawet do przechowywania się nie nadają.

Jest to rodzaj bolszewizmu w sztuce, negującego wszelkie dotychczasowe elementarne wartości i zasady zarówno rysunku jak i malarstwa. To nie są rzeczy nowe, jakieś objawienia, czy odkrycia. To jest poprostu nieudolność, która od początku świata istniała i którą może propagować każdy, kto nigdy nie poświęcał się malarstwu. Wszystko jedno, czy artysta popełnia tę nieudolność szczerze, czy tylko udaje. Rezultat wypada taki sam. Propagują też takie rodzaje sztuki zarówno w Monachium jak i w Paryżu, ale to wcale nie dowodzi, żeby tam taki kierunek miał zapanować. Wielka sztuka francuska rozwija się w dalszym ciągu, a nikomu to nie przeszkadza, że ktoś wynajął jakiś sklep pusty, lub sień domu i tam urządził wystawę nowego kierunku, gdzie ludzie są jak z klajstru, morze i góry z papieru, a drzewa są kombinacyą rurek gumowych z farbowanemi wiórkami. Słońce ma na tych obrazach przywilej rzucania światła odrazu z kilku przeciwległych punktów, a publiczność ma prawo wcale nie zwiedzać takiej wystawy mimo bezpłatnego wejścia. Wystawcy i ich przyjaciele usiłują robić tłok, który jednak tak jest bliźniaczo podobny do pustki, jak na owych obrazach niebo do ziemi. Po tygodniu kończy się termin najmu, sklep znów się opróżnia, a któreś z pism warszawskich drukuje korespondencyę z Paryża o nadzwyczajnem powodzeniu wystawy.

Zdaje się, że wszyscy członkowie „Nowej Grupy" pospieszyli pokazać publiczności swe autoportrety. Wyjątek stanowi tylko p. Młodzianowski, gdyż wystawił same cebule, śledzie, buraki i inne zapasy kuchenne jako martwe natury, malowane brudno, twardo i kanciasto, wprowadzając to urozmaicenie, że gdy liczni inni zwolennicy podobnych rodzajów malarstwa otaczają swe kwadratowe jabłka i krzywe talerze grubym konturem, jakby włóczką granatową, to p. Młodzianowski wszystko obkonturowywa na czarno.

Sąsiednią salę wypełniają prace Antoniego Gawińskiego.

Jest to malarz-poeta, który nie zdobywa się wprawdzie na potężną epopeję, ale wyśpiewuje melodyjne kantyleny, wdzięczne, pełne barw motylich i harmonii. Zarówno tematy, jak i sam układ i metody techniczne są do siebie zbliżone. Gawiński nie jest realistą. Natura nie jest dla niego celem, ale posługuje się nią tylko jako środkiem dla oddania swych malarskich wizyi, posługuje się jednak z całym dla niej szacunkiem, idealizując w miarę swych potrzeb i celów. I tak, np. w „Szumach fal" morze jest morzem, ma swe barwy i oddalenie a nieba Gawińskiego są pięknie odczutemi białemi obłokami, z których bije blask i światło, każdy zaś obraz ma swój cel artystyczny, dla którego powstał i stanowi w barwie piękny akord harmonijny.

I gdy z zainteresowaniem śledziłem w cichej sali pracę twórczą artysty, rozległa się głośna na popis rozmowa kilku panów, śród których zauważyłem pewnego „mecenasa sztuki", mającego duże wpływy na bieg spraw w „Zachęcie". Jeden z nich wskazał na któryś z obrazów, że go kupił i dodał: „ale ja już nie kupię drugiego *obraza*".

I raptem znalazłem się znów myślą w sąsiedniej sali przed błotnistemi martwemi naturami z szeregiem cebul, śledzi i innych smakołyków koszernych, a zarazem przypomniała mi się niezawodna taktyka, jakiej się trzymał pewien świeżej daty mecenas sztuki, gdy miał wątpliwości gramatyczne. Raz chciał zażądać w cukierni dwuch ciastek, ale już na ulicy zadał sobie pytanie, jak ma powiedzieć, dwa ciastka, czy dwie ciastki. Im dłużej myślał, tym mniej był pewnym, wreszcie znalazł sposób na obejście trudności; wszedł śmiało do cukierni i pewnym głosem wyrzucił: „Proszę mi dać trzy ciastki!", a gdy subjekt chciał rozkaz wypełnić, dorzucił: „i jedno nazad".

Zapewne dzięki wpływom i mecenasostwu takich, którzy nie chcą kupować drugiego *obraza*, nasza Zachęta umieściła w sąsiedniej salce sporo bardzo przeciętnych prac różnych nie zupełnie polskich artystów, a wśród nich wyróżniło się kilka malowideł nie tyle wykonaniem, co podpisem, który brzmiał: Vincent Brauner Lodz.

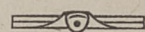
Wobec tego trzebaby było zapytać, czy Zachęta rzeczywiście służy sztuce polskiej?

Dwie sale zapełnił swemi pracami Józef Rapacki.

W jednej zgromadzono drobniejsze szkice, śród których sporo jest dobrych studyów, w drugiej — znalazły się obrazy większych rozmiarów i poważniejsze w założeniu. Że Rapacki wybornie odczuwa nasz pejzaż, o tym wiemy od lat kilkudziesięciu, więc i na obecnej wystawie znajdujemy się kolejno pod wrażeniem zakątków leśnych, nastrojów księżycowych, mgły jesiennej, wlokącej się po ścierniskach, wielkich śniegowych równin mazowieckich, obramowanych na dalekim horyzoncie wązką smugą borów, cichych stawów, grusz kwitnących i mnóstwa innych motywów, bo trudno wyobrazić sobie, czy są jakie, którychby Rapacki nie opracował. Wszystkie te dzieła wykonane są przez artystę wyjątkowo pracowitego i płodnego, który w zupełności panuje nad trudnościami technicznemi, często je znakomicie pokonywa, a zawsze serdecznie kocha i odczuwa ten szmat ziemi polskiej, który odtwarza.

I zbytecznem byłoby tłomaczyć widzowi przymioty i cechy obrazów Rapackiego, bo nie są to naśladownictwa zamorskich pomysłów, które w swej ojczyźnie uważane są za utwory waryatów, zboczeńców lub poprostu spekulantów na zwrócenie uwagi tłumów, ale z serca do serca przelewające się wrażenia, szczere, proste, a tak kochane i prawdziwe.

Antoni Austen.



Listy z Krakowa.

IV.

W ostatnich czasach na scenach teatrów polskich coraz częstszem zjawiskiem staje się oryginalna sztuka historyczna. Widzieliśmy np. aż dwie sztuki, zatytułowane imieniem bohatera z pod Raszyna, sztuki z życia Łukasińkiego, Piotra III, z czasów rewolucyi francuskiej, legionów napoleońskich, nie mówiąc już o sztukach okolicznościowych, związanych z rocznicami wypadków historycznych (3 maj, stulecie śmierci Kościuszki, rok 1863 i t. p.) lub sztukach, osnutych na tle epoki starożytnej. Nie jest to zresztą objaw, znamienny jedynie na naszym gruncie. Również i w innych krajach sztuka historyczna, szczególnie oparta na motywach narodowych i patryotycznych, znajduje łatwy dostęp do teatru i cieszy się zazwyczaj dużem powodzeniem. W przeważnej swej części sztuki te pisane są pod wpływem nakazu chwili lub poprostu na zamówienie dyrektorów teatrów, kokietujących bezmyślny tłum łezką patryotyczną i spekulujących na politycznej koniunkturze chwile, obliczone są na tani efekt i niewiele mają punktów stycznych z literaturą piękną. Do nielicznych wyjątków, w szeregu ostatnio wystawionych sztuk historycznych, wnoszących na scenę walory prawdziwie artystyczne i literackie i posiadających wartość trwalszą, należy najnowszy utwór dramatyczny Tadeusza Konczyńskiego p. t.: „Marya Leszczyńska", znany już z wytwornego wydania książkowego. O zaletach jego literackich pisał w „Bluszczu" dr. Szyjkowski i w sposób wyczerpujący oświetlił intencyę autora. Samo jednak tylko przeczytanie książki nie wystarcza, by wytworzyć sobie pełny sąd i poznać istotną wartość utworu Konczyńskiego. Do-

*) Imiennik znakomitego malarza ś. p. Witolda Pruszkowskiego. Również należy odróżniać Zygmunta Kamińskiego od wybornego ilustratora Antoniego Kamieńskiego.

piero pokazana na scenie sztuka autora „Srebrnych szczytów i „Białych pawi“ przemówić do nas może całem bogactwem swych walorów, doskonale skonstruowaną akcyą, żywym rysunkiem historycznych postaci, malowniczością scen, głębokim wczuciem się w ducha epoki, pięknym wierszem dyalogów, a nadewszystko subtelną charakterystyką głównej postaci, królowej Maryi Leszczyńskiej.

Indywidualność jej „wrażliwa, subtelna, pełna wdzięku i prostoty“ w sztuce Konczyńskiego zarysowuje się z niezwykłą wyrazistością i jest niby ucieleśnieniem pomysłów malarskich Fra Angelica. Interpretacya tej roli wymaga od artystki wyjątkowej wprost subtelności i dużej miary talentu liryczno-dramatycznego. Pani Helena Zahorska, jedna z najmłodszych sił Teatru Miejskiego w Krakowie, wyróżniająca się pięknym głosem i wysokiemi zaletami urody, czyniła zadość wszystkim warunkom, niezbędnym do tej roli. Od pierwszej chwili pojawienia się artystki na scenie gra jej posiadała głęboki i serdeczny ton, odznaczała się niezwykłą prostotą środków wykonawczych i szczerością. Taką jest p. Zahorska w scenie, kiedy, jako kochająca żona otacza troską symulującego chorobę króla, potem w rozmowie z Leszczyńskim, kiedy wyjawia przed nim plan wyniesienia na tron polski swego syna, księcia d'Anjou, szczególnie zaś w scenie końcowej ostatniego aktu, kiedy pełna rezygnacyi, postanawia „w sercu zasklepić ból“ i usunąć się od życia okropności. Świetlana postać Maryi Leszczyńskiej, tego „prześlicznego kwiatu polskiej kultury“ w interpretacyi p. Zahorskiej, na długi czas utrwala się w pamięci widza i działa kojąco na jego wyobraźnię.

Inne ważniejsze role znalazły wykonawców w osobach pp.: Żarskiego (Ludwik XV), Sosnowskiego (Kardynał Fleury), Jednowskiego (Stan. Leszczyński), Kosińskiego (Markiz Nangis) i Szymborskiego (książe Condé), oraz pp. Pancewiczowej (markiza Prie), Górskiej (hrabina Mailly) i Majdrowiczówny (księżna Chavreuse). Na pochwałę zasługują reżyserya Jednowskiego i umiejętnie dobrana do poszczególnych scen muzyka układu prof. Jachimeckiego. Dekoracye pędzla p. Zygmunta Wierciaka, wykonane według wzorów wersalskich, pociągały malowniczością i najzupełniej były zgodne z odtwarzaną w sztuce epoką. Pozostaje wyrazić nadzieję, iż ostatnia sztuka Konczyńskiego, która w Krakowie spotkała się z przyjęciem najbardziej życzliwem ze strony prasy oraz publiczności i grana była przez kilkanaście wieczorów przy szczelnie zapełnionej widowni, ukaże się niezadługo również i na innych scenach polskich.

Leon Pączewski.

PRZYJĘCIE NA PARNASIE.*)

Apollo na Parnasie, otoczony Muzami, właśnie zasiadł był po obiedzie na niebiańską drzemkę w złocistym fotelu, gdy Merkury zaanonsował:

— Poetka polska, Danglówna, z Warszawy.

Apollo żachnął się niecierpliwie:

— A cóż do Plutona, czy szkuta tam się w Polsce rozbiła z poetkami?... Czy one chcą tam Polskę w jedną gędźbę zamienić?... Niedawno Rabska, przedwczoraj Knollówna, wczoraj — ta harda Mel... Mel...

— Melcerówna, — podpowiedział Merkury.

— Właśnie! Melcerówna... I tyle ich jeszcze pozatem!... Jak wygląda ta nowa... Danglówna?

— Rosła, jak duży słonecznik, dobrze ułożona, ma tytuł baronówny, którego nie używa, ziemianka, imię Celina, — recytował wszystko wiedzący Merkury.

— Celina? to ładne imię, — zauważyła Talia, zaś Terpsychora, której muzy nieraz zarzucały, że ma cały rozum w nogach, zaraz się popisała z etymologią:

— Celina, to z łaciny — od *coelum*, co znaczy *niebo*, więc to już — jak gdyby *niebianka...*

— Prosić!—przerwał te wywody Apollo.

Merkury otworzył złotoróżaną chmurę, przed Apoliem stanęła nowa młoda poetka. Była nieco stropiona.

— Proszę! proszę! niech się pani ośmieli! — zachęcał Apollo, ogarniając ją wzrokiem promiennym, snać dobrze usposobiony pierwszem wrażeniem, z którego treść istotną on jeden naprzód już czytać potrafi. — Jest tu Pani między swoimi... Cóż nam Pani przynosi?... Niechże ta lutnia świadczy...

Poetka poczęła zrazu nieśmiało:

Wskroś zmierzch jesienny i wskroś senną ciszę
Woń pól twych ornych płynie ku mnie, ziemio.
Wiatr się po rośnych przydrożach kołysze,
Zwartem półkolem chaty moje drzemią.
Wszystkie twe szepty czuję, wszystkie słyszę,
Aż je wspomnienia boleśnie oniemią,
Jak w szpony, w dłonie drapieżne pochwycą
I łez gorących rzucą nawałnicą.

W miarę jak rosła pieśń, wzbierało w niej uczucie, opiewające tę „ziemię mogił“, na której, jak na harfie, „w gniewie grają palce Boże“, której „bór, jak Ogrójec oliwny szeleści“, — aż wreszcie uczucie to wylało się całą falą najgorętszej miłości:

Daj przywrzeć usta do tej świeżej rany,
By stłumić łkanie, co się w piersi zrywa, —
Zagon całować twój, krwią obryzgany,
I czuć, że jesteś, ziemio, jeszcze żywa,
Że posiew, w czarne twe bruzdy rzucany,
Bujnym się plonem ku słońcu dobywa,
I łanem kłosów złocistych zaświeci,
Gdy prochom twoim zabłyśnie Dzień Trzeci!

Pieśń zakończyła się złotodźwięcznym akordem nadziei, że ziemia ta „wielkim przepychem obfitego ziarna z przedziwną mocą wystrzeli w niebiosy,—stanie wszechwładna, potężna, ofiarna, jasna, szumiąca dojrzałemi kłosy“

I — by tych kłosów ciężkiem ziarnem były,
Prochy swe wszystkie oddadzą mogiły!

Muzy były rozpłomienione.

— To piękne, to bardzo piękne! — ozwała się pierwsza Polymnia, która, jak wiadomo, jest muzą podniosłej poezyi lirycznej, zaś elegijna Erato dodała:

— Tak! jest w tem moc uczucia... To całkiem, jak Konopnickiej!

— Mylisz się, moja Erato! — ozwał się poważnie Apollo: — Wy zawsze musicie szukać powinowactw... Pamiętaj, moja Erato, że uczucie, o ile tylko jest ono prawdziwe i głębokie — a takiem jest bez wątpienia to, któreśmy tu słyszeli — jest zawsze rzeczą indywidualną i zawsze rzeczą nową. Jest to owa nowość wieczna z ducha, która nie ma sobie podobnej w zjawie, jak niemasz dwu liści, podobnych do siebie. Bardzo dziękuję pani — rzekł, zwracając się do poetki — za ten piękny zjaw szczerego i mocnego uczucia. Możebyśmy usłyszeli teraz co z innej struny... Bardzo prosimy:

Ośmielona poetka poczęła już raźniej:

Czekać cię będę w słoneczny dzień,
W południa senną ciszę —
Czekać cię będę w słoneczny dzień:
Może śród zwiewnych pszenicznych tchnień
Szmer kroków twych usłyszę.

Ramiona, pełne dziewiczych kras,
Przystroję w polne kwiaty,
Ramiona, pełne dziewiczych kras,
Czekać cię będą w wiosenny czas
Na progu mojej chaty.

Biel wyświeżoną pustych mych ścian
Umaję tatarakiem,
Biel wyświeżoną pustych mych ścian,—
Źródlanej wody przyniosę dzban
I zbóż szumiącym szlakiem

Po lśniących smugach pszenicznych fal
Wyślę źrenice-gońce —
Po lśniących szumach pszenicznych fal,—
Niechaj przepatrzą słoneczną dal
Źrenice me tęskniące...

I tak, zwrotka za zwrotką, płynęła, rozwijając się, jak zbóż szumiący szlak, owa rzeźka, jędrna i sielska pieśń miłosna, — rzeźka, jak wody źródlanej dzban, i razem słodka i mocna i wonna, jak świeżo podebrany plaster miodu. Pieśń, tężna kochaniem, jak ramion mocnych szczere rozpostarcie, jak gleby przeoranej zapach, jak urok wieczny przyrody i wsi.

Boginki były zachwycone, aż nozdrza im drgały od wchłaniania tej pieśni, zaś Terpsychora aż porwała się z miejsca:

— Jak to gra! Jak to gra!... Jabym to odrazu zatańczyła—lepiej od Szmolcówny!

— Wstydź się!—gromiła ją ponura Melpomena:—Tybyś wszystko zaraz tańczyła! Poezya—to nie nogi!...

Wizyta przeciągnęła się do późna. Poetka, tak niezwykłem przyjęciem ośmielona już zupełnie, pokumała się za pani-siostrę ze wszystkiemi muzami i sypała im, jak z rękawa, coraz to nowe sonety i liryki. Dźwięczały więc i powiewały, jak kraśna wiejska chusta, na parnaskim szczycie. sielskie polskie obrazki, gdzie

Od pól, owianych tchnieniem południa szalonem,
Płyną wonie rozgrzane łubinu i gryki,
Słychać w dali dzwoniące świerszczowe muzyki,
Chwieją się złote kwiaty nad czarnym zagonem.

Tchnęły żarem płomiennym miłosne zaklęcia, niosły się czystem skowronkowem pieniem „Ewangelie“, wysnute z tematów nieprzebranej księgi „drogi i żywota“, natchnione, religijne, jak zorzy rannej pierwsze promienie złociste. Muzy, acz poganki, słuchały tego z przejęciem, Apollo promieniał, uśmiechał się i potakiwał.

Kto wie, jednak, czy nie najbardziej przypadły boginkom do gustu piosenki z tematów ludowych, okrętne, jak oberek, smętne, jak tęsknica dziewczęca.

Postawiłam w oknie ziele,
Przeczekałam trzy niedziele,
Potem miesiąc, potem drugi,
Wreszcie cały roczek długi,
Przeczekałam, przetęskniłam,
Smutne oczy wypatrzyłam,
Jasiu, za tobą — —

Prosty, niefałszowany, nie ckliwiony ton tych pieśni, szczery, jak zapach ziół wiejskich, rozkołysał wyobraźnię wykwintnych niebianek. Przyrzekły poetce, że nie-

*) Celina Danglówna. Poezye. U Gebethnera i Wolffa.

odzownie spłyną do niej na ziemię z wizytą, by poznać polski lud.

Opatrzona ambrozyjskiemi słodyczami, upojona nektarem i wrażeniami parnaskiemi, lekko się słaniając, o rosie już wieczornej, opuszczała poetka, żegnana przez wszystkich serdecznie, urocze stoki Olimpu. Na ostatniej już przełęczy, dzielącej niebo od ziemi, odprowadzający poetkę Merkury, doręczył jej dyplom parnaski, opatrzony słoneczną pieczęcią Apollina. Dyplom brzmiał, jak następuje:

„Zważywszy, że nowa poetka polska, Celina Danglówna, pierwszym swym występem na Parnasie oznajmiła się, jako talent rzeźki, jędrny i szczery, z uroków polskiej ziemi czerpiący swe soki żywotne, my, Apollo wiecznotrwały, pozwalamy jej o każdej porze dnia i nocy wstępować na nasze szczyty parnaskie, zasilać się na nich życiotwórczem natchnieniem i unosić stąd blaski promienne ku chwale i ozdobie tej jej ziemi rodzimej. Wszystkie Muzy zobowiązuje się niniejszem okazywać rzeczonej Celinie Danglównie swą pomoc i opiekę troskliwą: zarówno w dostarczaniu jej natchnienia, jak i w usuwaniu z jej drogi wszelkiej zbędnej pokusy życiowej.

Dan na Parnasie w miesiącu kwietniu, 1918 r.
(M. P.) Apollo Promienisty".

Za zgodność z oryginałem ręczy.
Józef Jankowski.

W poprzedniem sprawozdaniu z *Opowieści Chrystusowych* Maryi Czeskiej (wydawnictwo księgarni św. Wojciecha) wkradła się pomyłka drukarska: autorką francuską opowieści ewangelicznych jest p. Monlaur, nie Manclair, jak mylnie wydrukowano,—co się niniejszem prostuje.

WACŁAW ROGOWICZ.

CHÓR PIELGRZYMÓW.

Dramat w 1 akcie. [1)]

OSOBY:

ANDRZEJ FELLING — sławny malarz.
TONIA — jego wychowanica.
JAN SĘDZIMIR — przyjaciel obojga.
STEFAN KALEŃSKI — malarz i poeta.

CHÓR PIELGZYMÓW z „TANNHÄUSERA".

Rzecz dzieje się współcześnie, w Paryżu.

SCENA.

Obszerny, wysoki hall pałacyku w stylu włoskiego Odrodzenia. Główne drzwi, oszklone, wiodą na półkolisty taras, zbiegający do ogrodu. Z obu stron dwoje dużych okien. Przy lewej ścianie (od widza) drzwi, bliżej—wewnętrzne schody do pokojów na pierwszem piętrze. Na prawo kominek, bliżej—osłonięte ciężką portyerą drzwi do pracowni Andrzeja, naprzeciw schodów na górę. Trochę renesansowych, florenckich mebli, w ciemnem drzewie rzeźbionych, dużo dzieł sztuki, akcesoryów dekoracyjnych, kwiatów. Na kominku portret (biust bronzowy) Andrzeja. Wysunięta ukośnie na pokój fisharmonia.

Majowe przedwieczerze. Okna i drzwi do ogrodu otwarte, lecz przysłonięte zielonemi żaluzyami. Przez szczeliny deszczek wpada trochę słońca, ale zresztą panuje w sali lekki półmrok.

Z za zasłony słychać początek Hymnu Pielgrzymów z „Tannhäusera" na harmonium.

TONIA (*lat 24, ubrana jasno, z wytworną prostotą, gra dalej, w zamyśleniu przetrzymując uderzenia,—wreszcie roztapia je w zadumie głębokiej. Drgają echa ostatnich tonów*).

ANDRZEJ (*lat 40, postać pełna męskości, wyciągnięty w fotelu, twarzą do Toni, słucha w chmurnem skupieniu*).

TONIA (*przez chwilę patrzy miłośnie na Andrzeja, wstaje, podchodzi doń i opiera się o jego ramię*). Czemu pan mój tak chmurnie zamyślony?

ANDRZEJ (*bierze jej rękę w dłoń*). Nic, Toniu: jakieś natrętne myśli obsiadły duszę... (*z cichym uśmiechem*) przelotne ptaki, już oto spłoszone garścią rzuconych znienacka srebrnych dźwięków twego głosu.

TONIA (*z filuternem zafrasowaniem*). Wybacz, że je płoszę, (*po chwili*) lecz dzisiaj nie dam im ani na chwilę obsiadać twego serca—(*gorąco*) mojej włości. Taki radosny dzień, Andrzeju... taki cudny dzień...

ANDRZEJ (*z rozrzewnieniem obejmuje Tonię*).

TONIA (*promiennie*). Żebyś ty wiedział, co się ze mną działo, kiedym wczoraj wieczorem chwyciła gazety (*naśladuje*): „Przyznanie najwyższego odznaczenia przez jury Międzynarodowej Wystawy Sztuki w Wenecyi znakomitemu malarzowi, profesorowi Andrzejowi Fellingowi za dzieło „Małżeństwo Cyda", o czem donieśliśmy w depeszach wczorajszych"... (*coraz szybciej*) i to wszystko, co napisali o tobie, i gdym uprzytomniła sobie, że to mowa nietylko o mym ukochanym mistrzu i opiekunie, nietylko... oh, żebyś ty wiedział... (*zarzuca mu ręce na szyję i chowa głowę na jego piersi bez słowa. Odrywając się na chwilę, przymila się nieśmiało, smutnie*). Ale powiesz mi, co cię dręczy, prawda?... Powiedz, że powiesz.

ANDRZEJ. Ależ nic, Toniu, doprawdy nic. Wiesz, żem pracował dużo ostatniemi czasy, może zadużo. To wyczerpuje: jestem zdenerwowany. A dziś, po bezsennej prawie nocy, czuję się zmęczony temi wywiadami, życzeniami, ranną ceremonią w Akademii, całym tym, przy tylu wzruszeniach (*uśmiecha się*) doprawdy pracowitym dniem.

TONIA (*do siebie, z wpółprzymkniętemi oczyma*)... po bezsennej prawie nocy...

(*Drzwiami od ogrodu wchodzi* SĘDZIMIR. ANDRZEJ *i* TONIA *zwracają się ku niemu*).

SĘDZIMIR (*wysoki, barczysty mężczyzna w wieku lat 50; maniery wersalsko-sarmacko-knajpowe; mimo nieco zaniedbanej powierzchowności—garnitur żakietowy, podniszczony—swoboda i pewność siebie byłego światowca; głos dźwięczny, kategoryczny; w ustach nieodstępne cygaro. Wita się z Andrzejem i Tonią jednocześnie, podając jemu jedną, jej drugą rękę i potrząsając krótko a silnie*). Cóż słychać? (*śmiejąc się dyskretnie*). Przeszkodziłem?... Excusez moi (*Przyglądając się z zachwytem Toni*). Vous êtes aujourd'hui parfaitement ravissante, ma nièce!

TONIA (*niby to urażona jego poufałością*). A to skąd, panie Janie? Od jakiejż to chwili... bogowie nas spokrewnili?

SĘDZIMIR (*swobodnie*). Od wczoraj, od chwili, gdy Tonia została narzeczoną mego dawnego, najlepszego przyjaciela. (*Zwracając się do Andrzeja*). Sądzę, że pozwolisz. (*Andrzej uśmiechem potwierdza*). Znałem to przecie (*pokazując*) ot, takim berbeciem. (*Do obojga*). Zostaję starym wujem i koniec. (*Bierze rękę Toni i składa na niej długi pocałunek*).

TONIA (*lekko zażenowana, z żartobliwą wymówką*). Wujowi nie godzi się prawić komplimentów i całować po rękach siostrzenicy.

SĘDZIMIR (*z galanteryą*). Jak jaką. (*Siadają wszyscy troje, na zapraszający giest Andrzeja*).

SĘDZIMIR (*puszcza wielki kłąb dymu, dopalając cygara*).

ANDRZEJ. Zapal świeże, nie znęcaj się nad tem. W tej chwili ci służę. (*Szuka po kieszeniach surduta*). Ale, prawda, mam dla ciebie coś prima. Uważasz, ten cymbał—baron de Mont d'Or vulgo Goldberg - Złotogórski, którego cygaro pochwaliłem na obiedzie wtorkowym, przysłał mi zaraz setkę. Zdaje się, bardzo dobre, Henry Clay'e czy Upmann'y...

SĘDZIMIR (*patetycznie*). Cudowny człowiek, ten twój cymbał, czy mu będzie le baron de Mont d'Or, Goldberg czy Złotogórski. Jak się zwał, tak się zwał— byle dobre cygara miał.

ANDRZEJ. W tej chwili je ocenisz, cyniku - smakoszu. Jeszczem nie otwierał. (*Wychodzi drzwiami na prawo*).

TONIA (*przysuwając swe krzesło do Sędzimira, półgłosem*). Panie Janie, jakże pochód, próba ostatnia była, jak się to zapowiada, był pan?

SĘDZIMIR (*z emfazą*). Bajecznie! (*szybko*). Wrażenie będzie nadzwyczajne. Zespół głosów doskonały. Kostyumy pielgrzymów i pochodnie — wszystko gotowe. O zmroku wprowadzę chór przez ogród.

TONIA (*z podziwem, szybko*). Niech mi pan powie, jak pan urządził tę niespodziankę? Przecie to już dawno musiało być uplanowane? I któż to będzie naprawdę śpiewał? A mnie nic nie powiedzieć wcześniej—nieładnie.

(D. c. n.).

ORY JELSKA.

EWUNIA.

6)

Brzydki czas, nie wychodzę prawie wcale, monotonnie deszcz tłucze o szyby, wicher wyje przeraźliwie, woda rozlała dookoła. Wieczory wloką się nieskończenie długie. Czytam „Piekło“ Dantego, ojciec kabałkę kładzie, gdera na służbę.

Czasami przyjedzie kto z sąsiedztwa, chociaż bardzo rzadko, drogi teraz trudne do przebycia. Zresztą nieciekawi ludzie. Mastodony, mamuty i inne typy zamierzchłych czasów zoologii.

Gospodarze odcięci od świata brakiem dobrej komunikacyi raz na rok jeżdżą na kontrakty do Pińska, kupują kalendarz na rok cały i nie troszczą się o inną lekturę, wyjątków pod tym względem niewiele, nie w każdym domu jest gazeta. Bogaci właściciele wielkich obszarów najczęściej wydzierżawiają je chłopom, a nawet żydom, sami zaś, mieszkają w Warszawie lub zagranicą. I pod tym względem wyjątków mało.

Ojcu towarzystwo zupełnie niepotrzebne, obchodzi się bez niego doskonale, sumiennie od deski do deski, czytuje kuryerka i wiecznie młóci, omłóconą już nieraz słomę.

Słucham konferencyi z ekonomem, o cenach siana, o wodzie, która zalewa coraz więcej łąki, o karmie dla bydła, i porywa mnie rozpacz na myśl, że zawsze tak będzie, dziś, jutro, za rok, dziesięć! To samo! To samo!

Rozpacz!

Uciekam, rzucam się na łóżko, chowam głowę w poduszki i łkam cicho, by nikt nie słyszał.

* * *

We wtorek wizyta pani Dowbort. Byłam w ogrodzie: nie wiedziałam o jej przybyciu. W chwili, gdy weszłam do salonu toczyła się żywa rozmowa, właściwie ona coś przekładała ojcu. „No czemu nie, owszem, owszem!“ usłyszałam jego odpowiedź.

„Słodkomiodowa Kamcia“ to osoba w średnim wieku ruchliwa, przystojna warszawianka pragnąca sobie wszystkich zjednać; odbiega od tutejszego towarzystwa, lubiłabym ją nawet, gdyby nie raził mię trochę fałszywy ton w jej sposobie bycia. Ale passons. Wczoraj podwójna doza komplementów i grzecznych słówek pod moim adresem. Wie, co mnie razi, występuje jeszcze silniej, mrozi mnie.

— Mówiłam wuaśnie ojcu twemu, że cię zanadto trzyma w domu, to grzech zamknąć przed światem taką uhoczą istotkę. Dophawdy grzech! Nigdzie się nie pokazujesz! W przyszyhm tygodniu urządzam malutką khęcionkę un hien, (un rien) musicie państwo obiecać swój przyjazd. Nous cotnons pouh suh! — Jeszcze bardziej jak zawsze sznuruje usta, nie wymawia ani *ł* ani *r*. Ojciec nie może.

— Za stary jestem już, panie tego, zimą prawie z domu nie wychodzę, do Zarzecza daleko, zresztą co tam ze mną za zabawa, ot żona z córką niech jedzie.

Ja nie mam najmniejszej ochoty, wymawiam się brakiem stosownej tualety.

— Ależ nikogo nie będzie, tutejsze sąsiedztwo l'etehnelle histoihe! (l'éternelle histoire) no i thochę mojej hodziny. Voyons Éve ne faites pas d'embahhas, ce n'est pas gentil, une petite hobe blanche suffit, a ta zawsze się znajdzie.

— Panie tego, masz białą zeszłoroczną sukienkę, czy to już zła?

Moje usiłowania daremne.

— A więc liczymy na pewno—przypomina jeszcze Kamcia żegnając się.

Ojciec kazał przynieść sobie białą sukienkę. Oglądał ją na wszystkie strony.

Jest nieświeża, dół bardzo zawalany.

— No czegóż, można uprać.

Wzruszam ramionami.

— Ładnie mi upiorą! jedwab tylko chemicznie się czyści.

— Co ty, panie tego, wiesz.

Ojciec sam prania pilnuje, ogląda każdą fałdkę, no—i gotowe.

Przynieśli mi czystą wprawdzie, ale w niektórych miejscach błyszczy i szeleści jak papier, mam wstręt do takiego ubioru. Ojciec ze swego dzieła ogromnie zadowolony. Niema rady. Wybieramy się.

* * *

Da ist der Hund begraben! Zrozumiałam całą kombinacyę Kamci. Nie chodziło o pokazanie światu, mnie, wielkiemu światu z mysiej dziury, ale bratu Kamilki specyalnie, panu Augustowi Kempnerowi en sa personne.

To też nałożył pince-nez na nos, przechylił w tył głowę i przyglądał mi się... Miałam wrażenie, że jestem motylem, którego naprzód oglądają dokładnie, nim wetkną na szpilkę. B-r-r-r. Miałam ochotę zapytać go:

— No co? Ile minusów, ile plusów!— i odejść. Sama nie wiem, co mnie wstrzymało. Widać plusy przeważyły, bo cały wieczór ze mną spędził. Czas mi, przyznać muszę mile zeszedł, jest inteligentny, oczytany, umie mówić, drażni mnie to nawet, bo rozmawiałam z nim z zamiarem ostrej krytyki. Mówiliśmy dużo, on lubi wieś, ma majątek koło Warszawy, niedawno dopiero tam zamieszkał; z profesyi inżynier, świeżo zdołał spłacić brata i osiąść w rodzinnym Żyrowie, oddawna było to jedynem jego marzeniam, z całym więc zapałem poświęca się gospodarstwu.

Dziwię się. — Jeszcze ludzie, co nic innego nie znali, przywykli do swej taczki i ciągną ją, ale pan spędziwszy całe prawie swe życie w wielkiem środowisku oświaty, wśród pełni ruchu, znajduje przyjemność w zagrzebaniu się w jakiejś zapadłej głuszy? nie mogę pojąć!

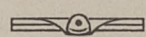
Śmieje się.

— Oryginalne ma pani o wsi pojęcie, trochę to wina własna, no nie pani,—dodaje widząc, że spoglądam na niego zdumiona.—Wogóle obywateli. Jesteście odcięci od świata brakiem dróg, kolei i nie staracie się nawet zaradzić temu, już to my polacy mało jesteśmy przedsiębiorczymi, jest to, jak Sienkiewicz określa „l'improductivité slave“, tak było za dziada, pradziada, to nasz nieco chwiejny argument. Gdyby tę ziemię posiadał niemiec widzielibyśmy tu wnet kanały, osuszone łąki, trakty, szosy, koleje, ulepszyłby gospodarkę, wyciągnąłby korzyści o jakich się nie śniło nawet naszym rolnikom. W Królestwie kultura znacznie wyżej stoi, obywatele mają mniejsze obszary, robotnik o wiele droższy, ziemia gorsza, jednakże dochody nieraz przeważają, nawet pomimo nadmiernych podatków.

Słuchałam tej prelekcyi rozbawiona, tak mi seryo, to wszystko tłomaczył.

Dalej mówił, że lubi naturę, więc ciasno mu było w murach miasta, nie było czem odetchnąć, brakło swobody, krępowały go chińskie formułki wymagań towarzyskich, obłuda salonów, rad iż się już wyrwał, choć bynajmniej się nie zakopał, ma wielu przyjaciół, z którenii wciąż utrzymuje stosunki, lubi młodzież, oni go mają za swego, należy do ich stowarzyszeń, bierze udział w odczytach,—enfin życie prowadzi czynne i dobrze mu zupełnie.

(D. c. n.).



LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Pani Iza mając w koło siebie kilka starszych pań, żartowała z Adolfa, że nie chce wziąć udziału w polowaniu.

— Nie podobasz się panienkom, Adolfie, — dręczyła kuzyna, — one wszystkie przepadają za sportami.

Malarz kręcił drobne wąsiki z fantazyą i nie zdawał się wyprowadzony z dobrego humoru.

— To i cóż, — odrzekł, — wolę przypatrywać się, a później całe towarzystwo przenieść na płótno; trudno, trzeba się poświęcać dla sztuki.

— Zatem będziesz nam towarzyzył na breczku, prawda? Przynajmniej będziemy miały jednego mężczyznę.

— Ja zabieram aparat fotograficzny — zawołała hrabina Okońska, która nie mogła brać czynnego udziału w polowaniach, co ją bardzo martwiło, ale nadrabiała miną i twierdziła, że jeszcze za gorąco w pierwszych dniach października.

— Jakto, żartujesz chyba, — rzuca z konia pani Hanka, śliczna w swej czarnej amazonce i meloniku na jasnych włosach— za gorąco, cóż znowu, najpierw słońce już nisko, a przytem po deszczu dość chłodno.

Pani Misia ma minkę dąsającej się dziewczynki, nie raczy odpowiedzieć baronowej, tylko zwraca się do pani Izy, chwaląc konia jej męża, pysznego karego folbluta.

— To jego ulubieniec, Kirgiz, najlepiej skacze w całej stajni.

— A ten ładny kasztanek, którego stajenny przeprowadza tuż obok?

— Ach, to koń dla Niny, nowo sprowadzony hunter; brat mój, znając go, namówił na to kupno Zygmunta, gdy byli razem na konkursie hippicznym w Trouville.

Pani Misia z zazdrością przypatrzyła się

lśniącej sierści rasowego zwierzęcia. Że też taka panna nic nie znacząca jest w takiej przyjaźni z Olszanowskiemi, — myślała podrażniona, — mają też dla kogo sprowadzać konie i urządzać zabawy; prosta nauczycielka muzyki.—Tu wydęła usta pogardliwie i osądziwszy, że bezdzietnym małżeństwom zawsze coś strzela do głowy, podeszła do konia Niny, podając mu cukier. Ale ten przestraszony niespodziewanym jej ruchem, cofnął się, strzygąc uszami.

— Niegrzeczny; damom nie daje się koszą, — zaśmiał się stojący opodal Zygmunt, — nie zapominają o tem tak prędko.

Młoda kobieta roześmiała się z przymusem.

— Widocznie nie lubi słodyczy; nikt go tu nie psuje, bo też przy tylu koniach trudno mieć faworytów.

— Przeciwnie, — ozwał się tuż obok głos Niny, która smukła, w obcisłej amazonce i kapelusiku „tricorne“ na nisko upiętych włosach wyglądała nadzwyczaj ponętnie, — przeciwnie, moja faworytka, Stella, często cukier dostaje, ale i z tym oto zuchem chcę się dziś bliżej zapoznać i zaprzyjaźnić.

— A jeżeli panią zrzuci? — zauważyła złośliwie hrabina Okońska. — Konie mają czasem kaprysy.

— Tak, jak piękne kobiety,—dodał Zygmunt, przypatrując się ironicznie podrażnionej kobiecie, — ale co do panny Niny, to nie potrzebujemy się o nią obawiać. Da sobie radę z każdym koniem.

To mówiąc, porównywał spojrzeniem różne typy obu kobiet i dziwił się, widząc jak bardzo traciła hrabina Misia z swą ciemną cerą i ostremi rysami przy delikatnej i ślicznej urodzie Niny.

Może i hrabina Okońska porównywała się w duszy z młodą dziewczyną, i widocznie niezupełnie zadowolona była z wyniku tych rozmyślań, bo odwróciwszy się od niej z widocznem lekceważeniem, zaczęła rozmawiać z asystującymi jej młodzieńcami, chcąc tem widocznie dokuczyć Ninie i podrażnić Zygmunta.

To też nie mało zdziwiła się, widząc, że oboje rozmawiają z sobą wesoło, nawet Nina roześmiała się głośniej, co obruszyło do reszty panią Misię. Czarne jej palące oczy ciskały błyskawice, z zaciśniętych ust wybiegło „arogantka“. Jak mógł pan Zygmnnt zajmować się jakąś tam nieznaną panną, kiedy była tu ona, piękna wysoko urodzona, uwielbiana przez wszystkich. Młodzi ludzie przestali ją bawić, zostawiła ich, aby poszukać pani Izy i malarza.

Właśnie siadali na break i pani Olszanowska dawała jej ręką znaki, że czas wyjeżdżać naprzód. Przed bramą ukazał się na rosłym siwym koniu dojeżdżacz, w otoczeniu gromady dużych łaciatych psów, i podniósłszy do ust trąbkę, wyrzucił kilka dźwięcznych tonów. Na to hasło powstał ruch i zamęt, psy poruszyły się niespokojnie, ujadając, kręcąc się między końmi i węsząc upragnioną zdobycz. Stajenni podprowadzali konie, panowie pomagali paniom przy wsiadaniu.

Baronowa zręcznie manewrowała i znalazła się przy Zygmuncie, który oddawszy swego konia chłopcu, właśnie zbliżał się do Niny. Nie było można się namyślać, jeszcze jako gospodarzowi należało pomyśleć wpierw o sąsiadce.

Zygmunt rad nie rad podał rękę ładnej kobiecie. Ta jednakże wskoczywszy lekko na siodło zatrzymała go, wynajdując wciąż nowe pytania, któremi go zasypywała, wymagając tysiąca drobnych usług.

Kokieterya zręcznej kobiety nie bawiła dziś Zygmunta. Po chwili rozmowy podał jej zgrabny stek, a dosiadłszy Kirgiza skłonił się i pomknął śpiesznie naprzód. Wszyscy ruszyli za nim stępa aż do miejsca, gdzie miały oczekiwać psy. Nina znalazła się przy Jerzym Zagórskim. Młody człowiek skorzystał z oddalenia Zygmunta, pomógł wsiąść Ninie na konia, i nie odstępował jej, temwięcej, że przyjaciel prowadząc polowanie nie mógł jej towarzyszyć. Nina nadto była przejęta nowością wrażeń, ślicznym wierzchowcem i urokiem dnia, by dąsać się na sąsiada. Rozmawiała z nim uprzejmie, dopytując się o osoby, których nie znała.

— Kto jest ten pan starszy, co tak dobrze trzyma się na koniu—pytała ciekawie.

— To ordynat Leśniewski, bardzo bogaty człowiek i lubiany w okolicy, rozmawia teraz ze swą kuzynką, Dulą Mirską. Nieładna? tak, ma pani racyę, ale podobno bardzo dobra. Zresztą, to blizka krewna cioci Geni i faworytka jej, a przytem odziedziczy po stryju wielkie dobra, proszę patrzeć, jak ją młodzież otacza. A ciotka ją dla mnie upatrzyła, pyszna ciocia nie pozwala nikomu wtrącać się do siebie. Nie, nie sprzedam się, brzydkiej żonie, Prawda, że szkoda by mnie było, no, niechże pani raz zrobi mi tę przyjemność i powie, że szkoda. Oboje roześmieli się. Nina przechyliła główkę i przekornie powtarzała: „Zarozumialec, brzydki zarozumialec“. Zygmunt odwróciwszy się nagle dojrzał pochylone ich głowy, roześmiane młode twarze, i jakiś bunt błysnął w ciemnych jego bronzowych oczach. Obydwaj panowie zmierzyli się wzrokiem. Dumne oczy Olszanowskiego zdawały się grozić, mówiąc, nie doprowadzaj mnie do ostateczności, zostaw ją,—a uparty wzrok Jerzego jakby na przekór tamtemu spoczywał wciąż z zachwytem na twarzyczce Niny, nieświadomej tej cichej walki.

— Zaczynamy — zawołał zbliżając się do Niny, i proszę niech się pani trzyma mego konia, ja jeden odpowiedzialny jestem za jej bezpieczeństwo.

(D. n.).

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Mówiła to wszystko zwykłym, trochę afektowanym, dziecinnym głosem, choć istotnie — więcej od niego uwierzyła w głęboką prawdę własnych, mimowolnych słów i doznała nagle jakby wewnętrznego olśnienia.

Zniecierpliwił się na dobre.

Postanowił: „Chcesz, to masz!“

— Ponieważ mnie nie chciałaś, — sarka, — a obawiałaś się małżeństwa ze mną — prawdopodobnie — dlatego, że straszną wydawała ci się daleka droga i życie w Indyach — i obawiałaś się może oporu ze strony rodziny — ; a ponieważ ja znów, ze swej strony, nie mam zwyczaju narzucać się komuś, więc...

— Zaręczyłeś się, prawda, Dick? I to podczas wielkanocnych feryi?

— Jestem od dwuch miesięcy po słowie z Ethel Harving, kuzynką moją, Anny.

Ania przystaje nagle; żółte światło latarni pada jej wprost na twarz.

Roztwiera szeroko nieprawdopodobne, zielonawe oczy — uśmiecha się poczciwie wilgotną czerwienią ust i mówi — wolno i dobitnie:

— Ależ, Dicku drogi, czy to się godzi nie podzielić się wcześniej swem szczęściem z przyjaciółką? Wy jesteście tu doprawdy zbyt dyskretni, gdy chodzi o poważne sercowe sprawy! To się bardzo chwali, lecz przez wzgląd na nasze serdeczne stosunki mogłeś przecież dać mi parę dni prędzej miłą sposobność złożenia ci najlepszych, najserdeczniejszych życzeń. Nie masz pojęcia, jak się cieszę!...

Dick jest rozczulony.

— Dziękuję z całego serca, malutka; pamiętaj Anny uważać mnie zawsze za najbliższego przyjaciela.

Wstrząsa go raz jeszcze silnie za rękę i idzie naprzód — znaczy się biało i smukle wśród czarnych, ostrych cieni drzew na szarej ziemi.

Okna mijanych willi błyszczą ku nim martwemi taflami, jak smutne, ślepe oczy wspomnień. Ania drży nerwowo; zdaje jej się, że gdzieś, w którymś z malutkich ogródków może, słyszy wyraźnie rozdzierające, straszne łkanie.

Oparta czołem o pień złotego laborumu, jak biedna, sieroca dziewczynka, jej pierwsza miłość płacze—płacze tak strasznie... Ania spieszy się do niej bardzo. Szepce: „Idę już — — idę“.

Angliczek jest wielce zdumiony. Złości go i oburza, że ta obca dziewczyna postępuje stale i do ostatniej chwili inaczej, niż na to liczył. Mogłaby, przecież podąsać się trochę, przypomnieć to i owo — co bezwzględnie sama pamiętać musi. Wytłomaczyłby jej wtedy i objaśnił, że w Anglii narzeczeństwo i małżeństwo nie są jedynemi formami — porozumienia drogą buziaków—no i ułożyliby sobie jakoś... życie.

Tym razem Ania przerywa nieprzyjemne silentium.

— Biedna Gladys! — stwierdza litośnie.

Dick dziwi się naiwnie.

— A to czemu?

Jest w pełnym rozpędzie gubienia lub zapominania złych przyzwyczajeń... w słowach.

Przygląda się Ani troskliwie i gderze.

— A skąd to królowa wraca tak późno? Myśmy zdążyli już dojść pół godziny temu. Seryo, panno Aniu, takie wybryki

szkodę tylko pani przyniosą. — Oj niańki tu potrzeba, mamusi z rózeczką...

— Proszę mi nie zwracać uwagi! Proszę!... Purpurowa i drżąca z gniewu wyjmuje mu z rąk lichtarz i biegnie po schodach na górę. — Szeleści gazowemi spódniczkami po korytarzu i postawiwszy hałaśliwie zapaloną świecę na ziemi, przy drzwiach Mieronicza, wpada do swego pokoju.—A więc, to tak!

Jest strasznie dumna z siebie: ma ochotę śmiać się razem i płakać. Upokorzenie i w całej pełni odczuty komizm sytuacyi dławi ją prawie. Przypomina sobie różowe pajęczyny myśli na koncercie i szarpie je okrutnie, na strzępy—Dick!

Wielki, niemądry Dick, któremu oto postanowiła wyświadczyć najwyższą łaskę—zadrwił z niej sobie, wycałował jak sklepówkę i odszedł, pożegnawszy się wprzód, aż nazbyt uprzejmie... Natrząsa się i szydzi z siebie boleśnie, bez miłosierdzia. Przypomina sobie z wielkim podziwem i złością wszystkie słowa i gesty Dicka. Jego ostrożny, badawczy ton i nieprzełamaną pewność siebie. Coby zrobił w podobnym wypadku inny? Taki idyota Mieronicz naprzykład? Nie powiedziałby nic, albo powiedziałby zbyt dużo i rzecz cała zamieniła by się w tragicznie niesmaczny skandalik. A tymczasem to jasnowłose, śliczne jak grecki bóg zwierze, załatwiło całą rzecz po gentlemańsku, dowiódłszy jej mniej więcej logicznie, że to on właśnie jest — pokrzywdzony! Rozbierając się pospiesznie, śmieje się krótkimi, urywanymi szlochami.

Sama na razie nie wie czego chce. Gniew nią trzęsie, a pragnęłaby do kogoś przytulić się a jednocześnie kopać kogoś i drapać do krwi—w napadzie pasyi. Na niewinną głowę Mieronicza rzuca w myśli grad najstraszliwszych klątw i wyzwisk za jego niewczesną „ojcowską“ przestrogę.

— Idyota! Opiekun!

Splatając na noc popielatą pelę włosów, boi się spojrzeć w lustro, tak żałośnie zabawną musi być w tej chwili jej własna twarz. Przez chwilę leży w ciemnościach bez ruchu.

Nie chciał cię! A widzisz, ani mu się śniło... Zaczyna nucić cichutko, sobie samej na złość:

„Les diamants dans notre pays sont innombrables
Les perles dans nos mérs—incomparables.
C'est l'Inde—terre de merveilles!...

Wzbiera jej nagle w piersiach zły, rozjątrzony spazm śmiechu.

Kryje głowę w poduszkę i zwyciężona wybucha długiem—tłumionem łkaniem.— Płacze, płacze, prędko, gwałtownie, jak małe niegrzeczne dziecko i jak dziecko—usypia w końcu z uśmiechem.

„Zali kto zgadnie, skąd przychodzi uśmiech, który igra na ustach śpiącej dzieciny?

Oto wieść głosi, że młody, blady promień księżycowego sierpu dotknął się skraju niknącej chmury jesiennej—i wtedy to—w śnie rosą skąpanego poranka, narodził się po raz pierwszy uśmiech...

Uśmiech, który igra na ustach śpiącej dzieciny... *).

(D. c. n.).

*) Rabindranath Tagore. Gitanjali.

Kronika działalności kobiecej.

Prawa wyborcze kobiet.

29 kwietnia druga Izba parlamentu przyjęła 120 głosami przeciwko 50 projekt o udzieleniu kobietom w Szwecyi prawa wyborczego, jednakże pierwsza Izba odrzuciła projekt 62 głosami przeciwko 36.

Wobec tego projekt upadł.

24 marca r. b. w Wiedniu, w sali nowego ratusza odbył się wiec kobiet staraniem organizacyi socyalno-demokratycznej, żądający dla nich równych i powszechnych praw wyborczych. W Holandyi odbył się w tym samym dniu takiż wiec kobiecy.

W Stanie Zjednoczonym New-York przyszło nareszcie do zwycięstwa olbrzymią większością głosów prawa wyborczego kobiet. Dotychczas tylko ten jeden stan jeszcze opierał się wprowadzeniu u siebie tego prawa w przeciwieństwie do innych, które już dawno na to się zgodziły. To zwycięstwo w Stanie New-York napełniło wielką radością kobiety Stanów Zjednoczonych.

W Stuttgardzie, Frankfurcie i Berlinie pracują gorliwie organizacye socyalno-demokratyczne kobiet nad zdobyciem prawa wyborczego dla kobiet.

Wielka ilość kantonów w Szwajcaryi zajęła się obecnie poważnie kwestyą zaprowadzenia u siebie prawa wyborczego dla kobiet.

Kobiety posłami.

„Daily News“ z okazyi nadchodzących wyborów do parlamentu ogłasza również listę kandydatek kobiet, wystawioną przez Labour Party, popierającą osoby pani Lilip Snowden, panny Margaret Bondfield, oraz panny Niny Boyle, członkini ligi wolności kobiet.

Kobieta generałem.

Jak już donosiliśmy, wystawili Anglicy na froncie zachodnim ochotniczy korpus kobiecy, służący przy sztabach w charakterze telegrafistek, szoferek, lekarek, sekretarek i t. d.

Na czele tego korpusu stoi miss Chahner Watson, która w niedługim stosunkowo czasie otrzymała tytuł generała brygady.

Z zawodu jest ona doktorem medycyny, a zarazem siostrą pierwszego lorda admiralicyi sir Eric Geddes.

Z chwilą wybuchu wojny zajęła się ona organizacyą pomocy kobiecej na froncie i jest inicyatorką owego korpusu, który już nieraz w ogniu poniósł poważne straty.

Straty paryskiej konfekcyi.

Wojna coraz dotkliwiej odbija się na przemyśle konfekcyjnym paryskim.

Według obliczenia kół kompetentnych, do Niemiec rok rocznie wywożono konfekcyi za 250 milionów kor., do Austryi za 18, do Turcyi za 27, do Bułgaryi za 150,000 kor.

Ogólne więc straty, jakie ponosi przemysł konfekcyjny, wyrażają się cyfrą 300 milionów.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.
Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

DO SZANOWNYCH CZYTELNICZEK.

W numerach następnych dodatki z modami będą miały znacznie powiększoną liczbę klisz, których przesyłka z zagranicy uległa opóźnieniu. Prosimy Sz. Czytelniczki o łaskawe uwzględnienie tego opóźnienia.

№ 1. **Suknia przybrana haftem, odpowiednia też dla osoby starszej.** (Szk. 1). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

NASZA POGAWĘDKA.

Pod wpływem pierwszych, tym razem bardzo przedwczesnych gorących promieni słonecznych pojawiły się pierwsze letnie suknie, zupełnie letnie, z materyałów, używanych podczas upalnych miesięcy, czerwca i lipca. Kolory: niebieski pastel, lila-różowy, jasny piaskowy, stanowić mają nowość a właściwie wydobyte będą z zapasów. Gazy, etaminy, woale, zwłaszcza jedwabne, fulary wróżnych gatunkach więcej noszone będą niż batysty i płótna. Temi ostatniemi imponować będą tylko te, które materyał ten posiadają w zapasach swojej garderoby, ponieważ płótna staną się podobno rzadkością i dojść mają do cen poprostu fantastycznych—do jakich zresztą dochodzi już wiele przedmiotów nawet najkonieczniejszego użytku.

Lekkie materyały układane będą i zaprasowywane w miliony fałdeczek, zakładeczek, pliseczek. Ręcznie wypracowane mereszki podniosą cenę letniej sukni z materyału do prania. Starannie wykonana mereszka to jedno z najwytworniejszych przybrań. Do sukien skromnych, mało skomplikowanych krojem, doskonałem przybraniem są wąskie, bawełniane tasiemeczki, naszyte na karczku, kołnierzu, mankietach, pasku i t. d. Nowością w przybraniach są niciane guziczki, które przy sukniach do prania, a zwłaszcza przy ubraniach dla dzieci, bardzo ładnie wyglądają.

Noszone będą paski i szarfy odrębnego od sukni koloru, co często wpływa na ożywienie toalety. — Oprócz haftów zawsze modnych, zawsze pięknych, które nigdy nie są skazane na odpoczynek, bardzo przez modę wyróżnione będą koronki *filet guipure*, szczególniej jako przybranie bluzek, przy sukniach z gazy, etaminy i innych przezroczystych tkanin wstawki koronkowe wszywane bywają przeważnie pod materyałem i dyskretnie przezeń przeglądają. — Przy sukniach z surowego jedwabiu hafty, często stosowane z wielką rozrzutnością zastępuje niekiedy wyszycie z sutaszu, lub tylko wydatna stebnówka. Ładny guzik i kołnierz bądź to z mereszkowanego batystu, bądź z batystu w paru kolorowych zestawieniach, dostatecznie dopełniają i podnoszą suknię z fularu, tafty, czy tussoru. Bardzo ładne i oryginalne kołnierze sporządzać można z batystu białego i kolorowego — czy tworząc rodzaj szachownicy, czy pasów poprzecznych lub podłużnych, lub też wszywając kolorowy batyst w biały kołnierz w formie narożników, trójkątów i innych motywów.



Szk. 3. Szk. 2. Szk. 12.

Połączenie kolorów: czarnego i białego nigdy nie wychodzi z mody, stanowi wieczną, nieśmiertelną „nowość". Zestawienie to przetrwało już tysiące zestawień innych. Przy najoryginalniejszych, najśmielszych, najefektowniejszych, kolor czarny i biały ostoją się zawsze zwycięsko.

W obecnym sezonie przedewszystkiem zestawienie koloru czarnego z białym spotykamy na kapeluszach.

Tu zręczny czarny *tailleur*, okolony rypsową białą wstążką, albo z białą na rondku plisą, — tam duży czarny kapelusz z białą jedwabną główką, okoloną rajerami białemi. Czarne rondo stanowi zawsze doskonałe tło dla dobrze uczesanej główki, zwłaszcza dla jasnej. Kapelusze bywają obecnie całe ze słomy, przeważnie z *liseré*, albo, co o wiele taniej wypada ze słomy i materyi, jak naprzykład: z tafty, crepe de Chine'u, surowego jedwabiu, Liberty...

O ile w kroju sukien moda obecna utrzymać umiała pewne umiarkowanie i nader rzadko spotykamy suknie, zasługujące na miano ekscentrycznych, o tyle w pośród kapeluszy widzimy bardzo wiele nietylko ekscentrycznych (ekscentryczność nie wyklucza piękna), ale wprost dziwacznych. Trudno pojąć, żeby dla miłości mody zatracać wdzięki i rozmyślnie szpecić się. Są takie kapelusze, w których nikomu dobrze być nie może — ale i takie znajdują nabywczynie.

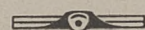
Mówiąc o modzie, wyrażamy się częstokroć: królowa moda, królestwo mody... po królowej należałoby oczekiwać, że wszystko, co jest jej pomysłem, jest wytworne, estetyczne,—tymczasem wcale tak nie jest. Czy może być coś mniej wytwornego, niż modne obecnie obuwie? Te krótkie, poczynające sznurować się na palcach, na przesadnie wysokich obcasach buciki, skracające nogę, gdy się na nią patrzy z przodu, a przez sztuczne ustawienie jej, rozszerzające niezgrabnie kostkę i zwiększające piętę do nadzwyczajnych rozmiarów, — nie, to bynajmniej nie królewski pomysł. — Dziw, że się względnie bardzo długo utrzymał. — Podobno jednak moda, która nawet w czasach wojennych odpocywać nie może, sygnalizuje o zmianie rychłej obuwia. Wrócić mają buciki wydłużone, obcasy umiarkowane, podobne do tych, jakie noszone były przed czterema laty. — Nie prędko pewnie zmiana ta stanie się widoczną, bo zmiana obuwia jest dziś prawie niemożliwa, oby tylko to dawniejsze, estetyczne i umiarkowane, a przez to samo wytworne obuwie nie przybrało



№ 2. **Suknia z gazy i z materyi z krótkim stanikiem.** (Szkic 2). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 3. **Suknia z krótkim chusteczkowym stanikiem.** (Szk. 3). Forma na zamówienie w administr. Bluszczu.

szpetnej, do niemożliwych granic wydłużonej, formy, kończącej się wązkim nosem, jak szydło. Przesada to najgorszy doradca. *Mondaine.*



Czy będą owoce?



№ 4. **Koszula nocna zdobna haftem.** Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

W „Kuryerze Warszawskim“ czytamy: Najstarsi z nas ogrodników takiego kwietnia jak tegoroczny nie pamiętają. Co nam przynieść może maj, zwłaszcza pierwsza jego połowa, to dziś jest jeszcze niepokojącą zagadką. A niepokojącą dlatego, że wobec zdumiewająco rozwiniętych wszelkich roślin hodowanych, w razie nawet lekkiego przymrozku poniesiemy ogromną klęskę, a błogie nadzieje rolników i ogrodników w niwecz się obrócą. Ale ich przygnębienie byłoby zarazem klęską dla całego naszego narodu, który teraz głównie tem żyje, co ziemia urodzi.

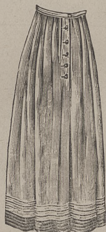
A taka klęska podobna już dotknęła przed tygodniem niektóre kraje Europy, mrozek tam zgubnie wpłynął na zawiązki zboża (zwłaszcza jare) i winnice.

Nas wtedy ominął szczęśliwie, pogroziwszy tylko chłodem. Ale nie traćmy nadziei, że i dalej Opatrzność nas od tej żywiołowej klęski obronić raczy. Cóżby z tego w tak pomyślnym przypadku wynikło?

Oto przedewszystkiem o całe trzy tygodnie skrócony przednówek. Więc wcześniej i chlebuś nowy, i ziemniaki, i kasze, i wszelkie jarzyny, a oraz owoce.

A jakie?

Otóż, o ile można wnosić z tego, co widziałem i co donoszą ziemianie, z prowincyi przybyli, w tej chwili już są pięknie zawiązane czereśnie i wiśnie. Byłoby ich nawet może dużo, gdyby nie to, że w pewnych sadach (nie wiemy o ile licznych) kwiaty okazały się płonne. Są w nich liczne okrywy kwiatowe, ale niema pręcików i słupków. Przyczyną jest susza głębszych warstw gruntu lub brak fosforu. Z tego powodu i grusze nagół kwitły słabo a w wielu sadach wcale, a choć zawiązały dobrze, gruszek będzie stosunkowo mało. Śliwki „ząbkują“. To znaczy, że są zawiązane, ale pracują na wytworzenie pestki. Gdy ten okres za pogody minie pomyślnie, może ich być obfitość. Jabłonie w kwiecie, jak panna młoda, zapowiadają wielki urodzaj.



№ 9. **Spódnica, przybrana tasiemką, z przodu zapięta.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 5. **Bluzka przybrana zakładkami.** (Szk. 5). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Truskawki, o dziwo, już rozkwitły i kwiaty mają zdrowe. Tak wygląda ta sprawa dziś; daj Boże, aby to samo można było powiedzieć po 15 maja.

E. Jankowski.



№ 7. **Fartuszek dla dziecka od 2—5 lat.** Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

№ 8. **Fartuszek dla dziewczynki od 3—7 lat.** Forma na zamów. w adm. Bluszczu.



Wzory Ubiorów i Robót do № 19.

№ 1. **Suknia przybrana haftem, odpowiednia też dla osoby starszej.** (Szkic 1). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Suknia z dowolnie wybranego wełnianego materyału składa się ze spódnicy i z bluzki tak połączonych z sobą, iż stanowią jakby jedną całość. Połączenie bluzki ze spódnicą pokrywa pasek, zapięty na guziki. Przód spódnicy prosty, podsunięty pod założone boki—w dole haft przerwany na przodzie. Na bokach kieszenie przybrane haftem. Bluzka otwarta z przodu na jasnej albo białej koszulce. Kołnierz przeciągnięty do stanu zwężającemi się wyłogami. Rękawy do łokcia koszulowe, od łokcia obcisłe, przybrane haftem.

№ 2. **Suknia z gazy i z materyi z krótkim stanikiem.** (Szkic 2). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Suknię z gazy, wykonaną na jedwabnym spodzie, na który użyć można znoszoną suknię, okala w dole i przecina mniej więcej w połowie długości plisa z materyi jedwabnej w tym samym co gaza kolorze. Krótki staniczek z gazy zakończa plisa, związana z przodu na kokardę. Stanik zmarszczony na ramionach, włożony na koszulkę z białego tiulu. Rękaw tiulowy do łokcia. Od łokcia obcisły gazowy, naszyty szeregiem drobnych guziczków i wykończony przy ręku i przy łokciu pliskami z materyi.



№ 6. **Koszula dzienna z karczkiem.** Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

№ 3. **Suknia z krótkim chusteczkowym stanikiem.** (Szk. 3). Forma na zam. w adm. Blusz.

Suknia z fularu lub innej lekkiej materyi składa się z przymarszczonej spódnicy i ze stanika, ściągniętego na przodzie i na plecach, włożonego na białą gazową lub batystową koszulkę. Spódnicę zdobi w dole wyszycie z sutaszu i jedwabnej plecioneczki, która też wykończa brzegi stanika. Przód stanika przytrzymuje klamra i dwa chwasty, zakończające sutaszem przybrany dół stanika.

№ 5. **Bluzka przybrana zakładkami.** (Szkic 5). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Bluzka jasna lub biała z materyału do prania, składa się z górnej części gładkiej, dopełnionej częścią niższą w zakładki. Kołnierz wykładany, zakończony nicianą koroneczką. Mankiety odpowiednie do kołnierza.

№ 7. **Fartuszek dla dziecka od 2—5 lat.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Fartuszek z jasnego kretonu w deseń okala ciemniejsza plisa. Fartuszek składa się ze staniczka i z namarszczonej części, pokrywającej całą sukienkę. Przy paskach małe epoletki. Wycięcie u szyi obejmuje ciemna plisa.

№ 8. **Fartuszek dla dziewczynki od 3—7 lat.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Fartuszek z ciemnego kretonu lub granatowego płótna, bardzo wygodny dla dziecka przy zabawie, dopełniają dwie duże za paskiem umocowane kieszenie. Okrągły, mały wykładany kołnierzyk wykończa wycięcie szyi.

№ 11. **Kostyum prostym krojem, przybrany guzikami.** (Szkic 11). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

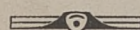
Zręczny kostyum z szarego materyału składa się z gładkiej prostej spódnicy i żakietu, skrajanego z kilku części. Boki nacięte i szersze u dołu zachodzą na przód i plecy a ozdobione są z każdej strony trzema guzikami i wyhaftowanemi trójkącikami. Takaż ozdoba z przodu na dole spódnicy. Szalowy, duży kołnierz i odłożone mankiety wykończają żakiet.



№ 10. **Spódnica zestawiona z 2-ch materyałów.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.



Odrębnym krojem odznacza się krótki, luźny kaftanik z jasno-szarej wełny, wykończony dużym odłożonym kołnierzem z kamizelką z tegoż lub białego, odrębnego materyału, przybranym na końcu przewiązaniem z czarnej aksamitki. Powyżej stanu przez przecięcie kaftanika przewleczona jest plisa z materyału w kratę, tworząca pasek. Pliski z tegoż materyału zdobią powyżej dołu proste, wykończone bez mankieta, rękawy.





Soja, jako surogat oleju i tłuszczów.

Dotkliwy brak olejów i tłuszczów, jaki daje się odczuwać państwom centralnym niemal od początku wojny, pobudził je do szukania środków zastępczych, któreby choć w części zaradziły temu brakowi. W Niemczech powstała nawet specyalna „Komisya wojenna dla olejów i tłuszczów zwierzęcych oraz roślinnych", a zadanie jej polegało na wynajdywaniu nowych sposobów wydobywania olejów i tłuszczów, które miały być potem zastosowywane w pierwszym rzędzie przez przemysł wojenny. Będąc odcięte od dawnych źródeł dowozu tych produktów, Niemcy zmuszone są sprowadzać je w części z krajów neutralnych, przeważnie jednak radzą sobie przez wydobywanie żywicy z lasów, przez zwiększenie intensywności uprawy roślin oleistych na terenach niemieckich oraz krajów okupowanych, przez przerób tłuszczów surowych na łój, przez wydobywanie i przerabianie tłuszczów z padliny zwierząt i t. p. Ale mimo tak licznych sposobów produkowania tłuszczów, ilość otrzymywanego przerobu okazuje się niedostateczną. Ostatnio zwrócono baczną uwagę na kraje bałkańskie, skąd możnaby czerpać (np. z Bułgaryi) oleje i tłuszcze. Okazało się jednak, iż celem powiększenia liczby drzew oliwnych na półwyspie bałkańskim oraz przekształcenia dzikich drzew oliwnych, znajdujących się w pokaźnej ilości w okolicach morza Egejskiego, w gatunki szlachetne, wymagany jest tak długi okres czasu, iż na razie z pomysłu tego trzeba było zrezygnować. Najbardziej dostępnem obecnie źródłem wydobywania tłuszczów i oleju okazała się roślina Soja, pochodząca z Japonii (w języku japońskim Shoim). Jest to rodzaj fasoli, nieco zbliżonej do naszej, europejskiej, ale posiadającej części składowe nieco odmienne i bardziej wartościowe. Z fasoli tej wygotowuje się polewkę, która, dodana do potraw, sprawia, iż smak ich staje się bardziej pikantny. W swej pierwotnej ojczyźnie, Mandżuryi, Chinach i Korei, z dawna była ona je-





Szk. 1.



Szk. 11.



№ 11. **Kostyum prostym krojem, przybrany guzikami.** (Szkic 11). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

№ 12. **Kostyum z materyału gładkiego i w kratę.** (Szkic 12). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 13. **Kostyum z dwóch materyałów z oryginalną baskiną.** (Szkic 13). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 14. **Spódnica modnym krojem i krótki żakiecik.** (Szkic 14). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 12. **Kostyum z materyału gładkiego i w kratę.** (Szkic 12). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Prosty, łatwym krojem kostyum dla młodej osoby sporządzić można z dwóch materyałów, przez co uwzględnić można przeróbki. Spódnica gładka, prostym krojem sporządzona jest z materyału w kratę, z przodu zapięta na trzy guziki w dużych odstępach. Żakiecik również prostym krojem sporządzony jest z materyału gładkiego w dowolnym kolorze — najładniej jeśli dobrany do koloru krat i przybrany kieszonkami na bokach u góry i w dole, poniżej paska, ujmującego żakiecik w stanie, patki kieszonek i kołnierz z częścią wyłogów i mały odłożony mankiecik, sporządzone z materyału w kratę.

№ 13. **Kostyum z dwóch materyałów z oryginalną baskiną.** (Szkic 13). Forma na zam. w admin. Bluszczu.

Spódnica dość strojnego kostyumu z wełny w piaskowym kolorze składa się z dwóch części; z których dolna sporządzona jest w rodzaju plisy z materyału w dość wyraźne bronzowe i białe paski. Tenże materyał tworzy kamizelkę przy krótkim żakieciku, wykończa wyłogi, kołnierz i brzegi odłożonych mankietów. Krótki żakiecik wmarszczony w baskinkę, oryginalnym krojem, rozciętą po bokach, z przodu rozchyloną i ozdobioną z jednej strony dziurkami—z drugiej guziczkami.

№ 14. **Spódnica modnym krojem i krótki żakiecik.** (Szkic 14). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Spódnica modnym, ładnym krojem, zmarszczona, z naciętemi bokami i odstającemi kieszeniami, sporządzona jest z materyału wełnianego w białą i czarną kratę.

dnym z najgłówniejszych pokarmów krajowej ludności. W Europie zwrócono na nią pilniejszą uwagę dopiero w r. 1908. Co prawda, już w latach 70-tych prof. Fryderyk Haberlandt podnosił zalety tej rośliny, lecz wówczas opinia jego nie znalazła zwolenników. Najwięcej zainteresowania w świecie naukowym obudziła soja w czasie wojny, a ostatnio M. Fürstenberg wydał o niej dwie prace, które niezawodnie będą czytane przez szerokie sfery przemysłowe *).

Według danych statystycznych, dowóz fasoli sojowych do Niemiec w r. 1910 wynosił 435.000 centnarów, w r. 1912 wzrósł do 1.252.000. Z owych fasoli sojowych można otrzymywać dwa rodzaje produktów, zalecanych jako jedne z najzdrowszych środków odżywczych.

1) Mleko roślinne, które posiada zalety niemniejsze od mleka krowiego, a nawet stawiane jest od niego wyżej. 2) Doskonały olej, używany do celów konsumcyjnych.

Prawie przed wybuchem wojny we Frankfurcie nad Menem powstał specyalny zakład przemysłowy t. zw. „Sojamawerk", gdzie otrzymywano z soji mleko oraz surogat mięsny w postaci kiszki wątrobianej. Niestety, po rozpoczęciu wojny zakład ten zmuszony był czynności swe przerwać.

Inny zakład, istniejący w Pradze, t. zw. „Santosnährmittelfabrik" zajmuje się główne produkowaniem kawy sojowej, która podobno posiada większe zalety od naszej kawy ziarnistej. Produkowanie oleju z fasoli sojowych zapoczątkował przemysł oleisty w Anglii. Z kraju tego przedostał się na rynki kontynentalne olej, wyprodukowany za pomocą ekstrakcyi. Olej ten szybko począł konkurować z olejem kotonowym (wyrabianym z nasion bawełnianych), a wyrazem uświadomienia sobie tego niebezpieczeństwa był memoryał, złożony przez izby handlowe i przemysłowe w Tryeście czynnikom rządowym, domagający się wzięcia w obronę przemysłu krajowego.

Zaznaczyć należy, że kiedy wszystkie dotychczas uprawiane w Niemczech rośliny oleiste wymagają użycia obfitych ilości gnoju stajennego wraz z dodaniem saletry chilijskiej, superfosfatów oraz soli potasowych, fasola sojowa może być uprawiana bez tych nakładów. Doświadczenia, dokonane w Bułgaryi, na Węgrzech i w Austryi, przekonały o bardzo wysokich zaletach tej rośliny i przysporzyły jej wielu zwolenników. Np. pewnej instytucyi przemysłowej na Węgrzech udało się przez krzyżowanie gatunku małych, żółtych fasoli sojowych z gatunkiem tych fasoli koloru brunatnego otrzymać nowy rodzaj fasoli, o rozmiarach większych, wcześniej dojrzewających oraz łatwo przyjmujących się w naszym klimacie.

Wspomnieć nam wreszcie wypadnie o cenach tego nowego artykułu na rynku europejskim. Otóż przed wojną żądano w Hamburgu 160—200 marek za tonnę, na początku wojny cena za tonnę podskoczyła już do 600 marek, a przed sekwestracyą jej zapasów w Niemczech na pokarm dla bydła, cena wzrosła do 2000 marek za tonnę. Poprzestając na tych najważniejszych informacyach, odsyłamy czytelników po szczegóły do wspomnianych prac Fürstenberga, wydanych w chwili, kiedy poruszona w nich sprawa jest jedną z najbardziej aktualnych i żywo obchodzących szerokie sfery naszego społeczeństwa. *L. P.*

„Korespondencya Wojennej Centrali Handlowej".

*) M. Fürstenberg. Die Einführung der Soja. Mit einem Vorwort von Prof. Haberlandt. Berlin 1916. Verlag Paul Parey. Tenże: Die Soja, eine Kulturpflanze der Zukunft und ihre Verwertungsmöglichkeiten. Berlin 1917. Parey.

PRZEPISY KUCHENNE.

Szparagi zielone z sosem. Podaję bardzo dobry sposób zużytkowania zielonych, wyrośniętych lub nieładnych cienkich szparagów.

Oskrobane, oczyszczone i wypłókane szparagi pokrajać na zupełnie maleńkie kawałeczki (mniej więcej na 2 centimetry długie)—poczem sparzyć je wrzącą wodą i zagotować, a po zagotowaniu odcedzić z tej wody i nalać drugą gotującą się również wodą i w nią wsypać soli i trochę cukru.

Ugotować szparagi miękko, tak, ażeby łatwo w palcach rozgniatały się.

Gdy już są dostatecznie ugotowane, włożyć je w sos, zrobiony w następujący sposób:

Wziąć łyżkę mąki i łyżkę młodego masła, zrobić z tego zaprawkę na biało, osolić oraz wsypać łyżkę cukru (można i więcej, podług gustu) i zagotować.

Następnie, dodać do tego kwaterkę słodkiej, dobrej śmietanki (poprzednio przegotowanej) i znów zagotować. — W braku śmietanki można użyć słodkiego mleka (które również poprzednio powinno być przegotowane), lecz wówczas trzeba wziąć jeszcze jedną łyżkę świeżego masła — z którem należy sos dobrze zagotować.

W gotowy gorący sos wrzucić ugotowane i pokrajane już szparagi — rozgrzać je — poczem wyłożyć na okrągły, głęboki półmisek, okładając na jego brzegu jajkami w koszulkach lub ugotowanemi na twardo i pokrajanemi na połówki lub ćwiartki — i wydać na stół.

Zupa szparagowa mięsna. Mając szparagi cienkie, zielone, wyrośnięte, przestarzałe, jednem słowem z jakichkolwiekbądź powodów mniej smaczne — najlepiej je można zużytkować na zupę.

Oczyszczone, oskrobane i wypłókane czysto szparagi (licząc ćwierć kopy na dwie osoby)—sparzyć wrzącą wodą, ażeby gorycz z nich odeszła—zagotować i zaraz odcedzić, nalewając drugą gotującą się wodą, w którą wsypać soli i odrobinę cukru.

Po ugotowaniu, kiedy są już zupełnie miękkie, odkrajać główki i włożyć je do wazy, wydając zupę na stół — resztę szparagów przetrzeć przez sito i rozprowadzić rosołem.

Następnie zaprawić zupę łyżką świeżego masła z mąką i kwaterką świeżej, kwaśnej śmietany—oraz wydając ją na stół, rozbić doskonale w wazie kilka żółtek i w tak rostrzepane żółtka lać gorącą zupę, mieszając mocno, dopóki płyn nie połączy się z niemi dostatecznie.

Chcąc oszczędniej przyrządzić tę zupę—można użyć tylko samo masło lub samą śmietanę, albo też zamiast śmietany, masło i żółtka.

Prosimy o zwrócenie uwagi na adnotacyę na I-ej stronie dodatku.

Zupa szparagowa postna. Powyższa zupa może służyć za postną, jeżeli nie użyje się rosołu—a natomiast szparagi gotuje się na smaku, wygotowanym poprzednio z włoszczyzny (i przecedzonym z niej), a potem zaprawia się śmietaną lub masłem.

Uwaga. Do mięsnej szparagowej zupy, jako dodatek, najstosowniejszy, podaje się „consommé" z móżdżku, drobiu lub cielęciny, albo też rozmaite paszteciki z mięsem lub móżdżkiem; do postnej zaś zupy: groszek ptysiowy lub gałki z parzonego ciasta i upieczone w piecu, albo też grzanki krajane w podłużne paseczki i usmażone na maśle.

Tak mięsnej, jak i postnej zupie, chcąc nadać wytworniejszy smak, można na wydaniu wlać w nie kieliszek białego francuskiego wina.

Paszteciki ze szparagami. Szparagi cienkie, niezbyt ładne, oskrobane, oczyszczone i wypłukane czysto, nalać czystą wodą i zagotować, poczem odcedzić natychmiast i nalać również gotującą się wodą — sypiąc w nią soli i trochę cukru i gotować szparagi, aż do zupełnej miękkości. Poczem, kiedy są już ugotowane, zrobić z nich farsz w następujący sposób:

Szparagi przesiekać i udusić je w pełnej łyżce masła—a potem dodać do nich 2 do 3 żółtek ugotowanych na twardo, 2 do 3 łyżek słodkiej śmietanki (przegotowanej poprzednio), soli i odrobinę cukru—rozetrzeć to wszystko dobrze razem i zagotować a nakoniec wbić 2 surowe żółtka, z któremi znów dobrze rozmieszać i tak gotowy farsz nakładać w paszteciki, zrobione z francuskiego ciasta.

Zarobić ciasto francuskie jak zwykle i wykrajać zeń foremką lub szklanką okrągłe kółka na grubość pół cala.

Kółka składać ze sobą podwójnie, smarując obadwa rozbitem całem jajkiem, ażeby się dobrze zlepiły i ściśle ze sobą połączyły.

W wierzchnich kółkach powykrawać w środku małym kieliszkiem okrągłe otwory, przed połączeniem ich jeszcze ze spodniemi częściami.

Tak przygotowane paszteciki upiec w bardzo gorącym piecu.

W upieczone paszteciki ponakładać w ich otwory powyższy farsz zrobiony ze szparagów—koniecznie gorący, poczem przykryć go powycinanymi środkami z francuskiego ciasta (ze zwierzchnich kółek) — a rozgrzawszy w piecyku, podać gorące na stół.

Szparagi delikatniejsze, miękkie, wystarcza tylko oskrobać — twardsze zaś należy poprostu strugać t. j. skrawać z nich wierzchnią skórkę ostrym wąskim nożykiem.

Oczyszczając szparagi — oskrobane już sztuki kłaść natychmiast do zimnej wody, ażeby nie zwiędły i nie zżółkły. Gotować szparagi należy w dużej ilości wody.

Gotując szparagi oraz wszelkie jarzyny nieoczyszczone—dobrze jest wsypać do wody odrobinę oczyszczonej sody, co niezmiernie ułatwia i przyspiesza gotowanie, a tem samem jarzyna nie nasiąka wodą i przez to jest smaczniejsza.

Szparagi, jak i wszystkie prawie jarzyny, zyskują niepomiernie na smaku, jeżeli są blanżerowane, to znaczy obgotowane wpierw przed właściwem ich gotowaniem, t. j. są włożone do gotowania we wrzącą wodę i zagotowane, są zaraz bezzwłocznie odcedzone i znów nalane w tej chwili inną gotującą się (i osoloną) wodą; celem tego jest—ażeby właściwa jarzynom gorycz była usunięta przez obgotowanie w pierwszej wodzie.

Przy gotowaniu szparagów koniecznem jest zachować ostrożność, ażeby ich nie połamać, bowiem są bardzo kruche, a mianowicie główki, o które właśnie najwięcej dbać należy, gdyż w całym szparagu główka ma największą wartość.

Rzodkiewka z sosem. Rzodkiewkę młodą, okrągłą, ładną, wypłukać czysto, poczem obrać starannie cieniutko z łupinki. Następnie, obraną już rzodkiewkę sparzyć wrzącą wodą i zagotować — a gdy się zagotuje, natychmiast odcedzić, poczem nalać inną gotującą się także wodą, sypiąc doń soli i sporo cukru.

Kiedy rzodkiewka jest już dostatecznie miękka, odcedzić ją i włożyć w gorący poniżej opisany sos.

Na sos zrobić zasmażkę na biało z łyżki masła i łyżki mąki, rozprowadzić to lekkim rosołem lub w braku tegoż gorącą wodą, wsypać soli i cukru do smaku, wszystko razem dobrze wymieszać, poczem zagotować.

Następnie zaprawić kilkoma żółtkami (nie gotując dłużej z niemi) i na wydaniu wcisnąć trochę soku ze świeżej cytryny dla zapachu — niewiele dlatego, że sos nie powiniem być *kwaśny*, lecz tylko *kwaskowaty*.

Wyłożyć na okrągły, głęboki półmisek, i jeśli kto może przybrać go na brzegu półksiężycami z francuskiego ciasta lub też dużemi, okrągłemi gałkami z ciasta ptysiowego.

Bardzo delikatna i smaczna jarzynka. *H. Ch.*

ODPOWIEDZI.

P. Br. H. List Sz. Pani skierowaliśmy do p. M. Norkowskiej — odpowiedź znajdzie Sz. Pani w najbliższych numerach.

Pannie Helenie. Najuprzejmiej przepraszamy Sz. Panią za zwłokę. Wzory te, z zeszłego roku były już u nas wyczerpane, musieliśmy je zamawiać z zagranicy, przez co dopiero przed paru dniami mogliśmy je wysłać. Żądany adres: Mazowiecka 11.

Stałej prenumeratorce. Dziękujemy serdecznie za miłe słowa dla naszego pisma. Cieszymy się bardzo, że otrzymana odpowiedź tak Sz. Pani trafiła do przekonania. „Bluszcz" zawsze stara się o fachowe pierwszorzędne pióra w każdym dziale. Czekamy zapowiedzianego w karcie — listu.